

II nagroda w VI Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Płynąć pod prąd”

dla Małgorzaty Żuk

z Gimnazjum nr 40 im. Noblistów Polskich we Wrocławiu

za pracę pt. „Opowieści przy rodzinnym stole...”

w kategorii szkół gimnazjalnych – proza

Opowieści przy rodzinnym stole...

Dawno, dawno temu... Kto nie nadstawi baczniej uszu, słysząc te magiczne słowa? Przez długi czas takimi bajkami były dla mnie opowieści moich dziadków i starszych przedstawicieli rodziny, dotyczące rozmaitych historii z ich życia. Może brakowało w nich czarodziejskich stworzeń, lecz ten niedobór zdecydowanie rekompensował jeden fakt - wszystkie wydarzyły się naprawdę, a ja osobiście znałam ich bohaterów. Często, pytając o zdarzenia z nieodległych dziejów Polski, otrzymywałam „w pakiecie” zabawną dykteryjkę o tym, co przydarzyło się babci, dziadkowi i ich rodzeństwu, mamie - jak to się zapewne odbywa w wielu rodzinach.

Tak więc, czytając pierwszą gazetkę dla dzieci pt. „Miś”, dowiedziałam się, że dziadek maszerował kiedyś w pochodzie pod transparentem „Tylko Miś nie kłamie dziś”. Po wielu, wielu latach uściśliłam sobie, że działo się to po wydarzeniach Marca '68, w których brał udział razem z babcią jako student Politechniki Wrocławskiej. Wysłuchałam wspomnień o kolegach, którzy za podobną postawę zostali zmuszeni do pożegnania się z uczelnią. Żaląc się na trudności w uzyskaniu wymarzonego stopnia, wysłuchałam niepojętej dla mnie (jako pilnej uczennicy) opowieści, jak to stryjeczny dziadek Andrzej z godnym podziwu uporem starał się utrzymać ocenę z języka rosyjskiego na „satisfakcjonująco niskim poziomie” - czyli najniższym uprawniającym do przejścia do następnej klasy liceum. Żeby nie było niedomowień - posiada on duże zdolności w tym kierunku (dziś jest tłumaczem literatury angielskiej), zaś rosyjskim posługuje się całkiem dobrze. Czuł jednak potrzebę zaprotestowania przeciwko narzuconemu odgórnie językowi „okupanta”. Uważał, że nie wolno poddać się systemowi, trzeba iść za głosem swojego serca, bo *„płynie się zawsze do źródeł pod prąd, z prądem płyną śmiecie”*.

Te zabawne i nieco mniej wesołe opowiadania, z biegiem lat i w miarę zdobywania przeze mnie wiedzy historycznej, zaczynały się układać w całość i kształtować moją świadomość o poglądach i postawach ludzi z bliskiej rodziny. Zorientowałam się, że osobą najbardziej

zaangażowaną w działania opozycyjne wobec reżimu komunistycznego był zawsze stryjeczny dziadek (ja nazywam go wujkiem) – Andrzej Milcarz.

Niechęć do wszelkich form ograniczania wolności Polski czuł od dziecka, czemu dawał wyraz w wypracowaniach szkolnych, wprawiając w konsternację nauczycieli. Mimo to skończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim i zaczął pracować w gazecie „Wieczór Wrocławia” jako dziennikarz.

Jego przeżycia wydawały mi się interesujące, nigdy jednak nie potrafiłam zebrać się na odwagę i poprosić go, by podzielił się ze mną swoimi wspomnieniami. Z tego właśnie powodu, gdy kilka dni temu gościł u nas, postanowiłam dalej nie zwlekać i namówić go, by przywołał historie z dawnych lat...



Fot.1 „Wieczór Wrocławia” z białymi plamami

W 1980 r., po protestach w Stoczni Gdańskiej, w całej Polsce tworzyły się oddziały związku zawodowego „Solidarność”. Także we Wrocławiu znaczna część pracujących, a wśród nich dziennikarze i drukarze, dołączyli do tej organizacji. Przewodniczącym Komisji Zakładowej we wrocławskich gazetach został mój stryjeczny dziadek. Jako główny cel działacze związku zawodowego obrali „uwolnienie” prasy spod nieustannej kontroli cenzury. Taka okazja nadarzyła się w marcu 1981 roku, po słynnym kryzysie bydgoskim. „Wieczór Wrocławia” postanowił przedstawić w swoim reportażu zarówno oficjalne stanowisko rządowe, jak i własny raport z tamtych wydarzeń. Cenzor dyżurujący w drukarni przy ul. Piotra Skargi zakwestionował fragment

tekstu relacjonujący konferencję „Solidarności”. Dziennikarze sprzeciwili się wtedy wydrukowaniu okrojonej wersji, chcieli w pełni poinformować swoich czytelników, co stało się w Bydgoszczy. Długo dyskutowali, jak tego dokonać. W końcu postanowili obejść cenzora, drukując pustą plamę w miejscu niedopuszczonego artykułu. Gazeta momentalnie stała się towarem rozchwytywanym. Czytelnicy wyrażali swoje poparcie także listownie i telefonicznie. W tamtych czasach był to „ten hardy krok co świat przemieni” - i spotkał się z olbrzymim, pozytywnym odzewem.



Fot.2 ... i stryjeczny dziadek Andrzej opowiadający o dawnych czasach

Trzydzieści lat później „Wieczór Wrocławia” przypominał tamte wydarzenia i przeprowadził wywiad z moim stryjczym dziadkiem. Osoby odpowiedzialne za puszczenie białej plamy, a wśród nich też mój wujek, przygotowywały się na szykany ze strony partii. Wiedzieli, że życie „stawia nas twarzą w twarz wobec okrutnej alternatywy – albo bezpieczeństwo albo wolność” - w tym wypadku wolność prasy. Represje jednak nie nadeszły. Dopiero pół roku później, po wprowadzeniu stanu wojennego, komuniści przystąpili do ataku - zwolnili wszystkich dziennikarzy „Wieczoru Wrocławia” związanych z „Solidarnością”. Wujkowi także zakazano wykonywania zawodu. On jednak ani myślał rezygnować z pisania w prasie! Razem z kolegami postanowił wydawać małą, prymitywnie powielaną gazetkę pt. „De facto”- oczywiście nielegalnie. Pozbawiony etatu, z tzw. „wilczym biletem” - nie stronił od pracy fizycznej w ogródkach zaprzyjaźnionych osób i przy produkcji zniczy nagrobnych na Wszystkich Świętych. Te dorywcze prace oraz paczki przysyłane z zagranicy przez znajomych przez pewien czas stanowiły źródło utrzymania dla niego i jego

najbliższych. O bezpieczeństwie ekonomicznym rodziny nie mogło być mowy - jednak większą wartością był fakt sprzeniewierzenia się opresyjnej cenzurze, bycie „*wyprostowanym wśród tych, co na kolanach/ wśród odwróconych plecami*”. Tamte czasy wspomina raczej ze śmiechem, mówi, że zamiary komunistów spełżyły na niczym i tak naprawdę wszystko, co miało go załamać, w ostatecznym rachunku wyszło mu na dobre.

Tak sobie miło przy rodzinnym stole rozmawialiśmy o dawnych latach, gdy wreszcie zdradziłam, że mam zamiar opisać naszego bohatera w eseju zgłaszającym na niniejszy konkurs. I zaczęły się protesty! Stryjeczny dziadek wcale nie uważa się za kogoś niezwykłego! Jego postawę doskonale oddają słowa Herberta: „*To wcale nie wymagało wielkiego charakteru/ nasza odmowa niezgoda i upór/ mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi/ lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku/ Tak smaku*”. I zaproponował mi, bym raczej opisała ojca Hieronima Warachima, kapucyna, który kształtował postawy życiowe młodzieży (m.in wujka Andrzeja i mojego dziadka Zbyszka) z parafii Św. Augustyna na wrocławskich Krzykach. A więc przybliżę i tę postać...

Młodość Hieronima Warachima przypadła na okres drugiej wojny światowej. Podobnie jak wielu mężczyzn w jego wieku postanowił przyłączyć się do akcji „Burza”, jednak przełożeni zakonni podjęli decyzję o przeniesieniu go w inne okolice. Do Wrocławia trafił w 1956r. i objął parafię pw. Św. Augustyna przy ul. Sudeckiej. Kościół parafialny znaczył w tych czasach bardzo dużo – był centrum życia duchowego i kulturalnego, wolnego od nachalnej, komunistycznej propagandy. Wielu księży było nękanym za zbyt śmiałe wypowiedzi. Ojciec Hieronim dokonał niezwykłego czynu - zjednoczył parafian pochodzących przecież z niemal całej Polski. Dbał także o znajomość kultury i historii polskiej wśród najmłodszych. Przy rodzinnym stole dziadek i wujek wspominali z sentymentem rozmowy z ojcem kapucynem o „Panu Tadeuszu” i „Potopie” Henryka Sienkiewicza, i wycieczkę do Częstochowy. Ojciec Hieronim wiedział, że „*naród, który traci pamięć, traci sumienie.*” Najbardziej zaś zależało mu na kształtowaniu postaw życiowych – temu poświęcał długie dyskusje filozoficzne ze starszą młodzieżą. Zapewne wielu, podobnie jak mój stryjeczny dziadek, z tych lekcji wyniosło zasady moralne na całe dorosłe życie... Ja zaś obserwując, jak dwaj starsi, doświadczeni panowie z podziwem i wzruszeniem wspominają ojca kapucyna, nabrałam przekonania, że była to postać zasługująca na wielki szacunek. Zajrzałam później do internetu i znalazłam wzmiankę o odznaczeniu ojca kapucyna Hieronima Warachima w roku 2009 Orderem Odrodzenia Polski. Ale w latach 60-tych XX wieku dla dwóch braci – Zbyszka i Andrzeja – był po prostu księdzem uczącym religii...



Fot.3 Ojciec Hieronim Warachim

Już wiem, że bohaterów nie trzeba szukać, kartkując encyklopedie i książki historyczne. Oni są tuż obok nas. To ci, którzy byli odważni, nawet *„gdy rozum zawodzi”*, wiedzieli, że w *„ostatecznym rachunku jedynie to się liczy”*. Powtarzali *„wielkie słowa (...) z uporem jak ci co szli przez pustynie i ginęli w piasku”*. Zwykle pozostają nieznani dla osób spoza bliskiego otoczenia, ale przecież bohaterstwo nie zabiega o poklask, jego czyny motywowane są wiedzą, że „tak trzeba”. To ci, którzy trwając niezłomnie przy zasadach zwykłej przyzwoitości, niezależnie od tego, ile trzeba za to trwanie zapłacić - swoim przykładem uczą przyszłe pokolenia. To cisi bohaterowie każdych czasów, realizujący swoim życiem „Przesłanie Pana Cogito” stosownie do okoliczności, w których przyszło im żyć . Oni są „solą ziemi”.